

nich. Dla studyów w strefach wyższych, przeznaczony jest laboratorium pomocnicze w schronisku królowej Małgorzaty, na wysokości 4559 m. na szczycie Gniffetti.

## Kronika tygodniowa.

Spodziewam się, że czytelnicy fejtetonów „Z tygodnia“ poczują się raz do obowiązku złożenia ich autorowi „daru honorowego“ za jego przepowiednie. Już parokrotnie miałem zaszczyt stwierdzać, że duch proroczy mieszka w piórze mojem. Dziś znowu mam miłą sposobność „skonstatować“ jego istnienie. Zaledwie przed 2-ma tygodniami uspakajałem czytelników „Nowości“ co do losów ugody austriacko-węgierskiej; kazałem im nie rozpaczować i nie wierzyć doniesieniom dziennikarskim, że znajduje się ona w stanie beznadziejnym. A pisałem to w chwili, kiedy Węgrzy opuszczali Wiedeń, paląc niby wszystkie mosty za sobą, kiedy cała prasa zarezczała, że ugoda dyabli wzięli, że Translitawia pójdzie do Sasa, a Cislitawia do lasa. Powążyłem się twierdzić, że to wszystko błaża, że obie strony grają zwykłą komedię, aby ludy cieszyły się z posiadania tak nieugiętych ministrów. Pisałem, że im to „dobrze robi“, a zapomniałem jeszcze dodać, że o ile dłużej trwają pertraktacje, o tyle większe panom plenipotentom przypadają dyety, o tyle więcej zjedzą oni wspólnych obiadów, o tyle więcej zrobią miłych wycieczek do Wiednia lub Budapesztu. I stało się jak przepowiadałem. Pomimo piętrzących się gór trudności, pomimo niedających się zasypać przepaści, ugoda stanęła. Bo te przepaście, nie były to przepaście, lecz co najwyżej rowki, które przejść można nawet bez skakania; bo każda z owych piętrzących się gór, nie była to góra, lecz co najwyżej Psiagórka. Naturalnie, że komedię odegrano do końca. Jeszcze w sobotę wieczorem czytaliśmy telegramy, że „przygotowania do odjazdu ministrów austriackich z Budapesztu na godzinę 5-tą popołudniu już poczyniono“, że „nie może być mowy o zawarciu ugody“, że „wybuch“ przesilenia jest nieuchronny „nietylko w łonie gabinetu węgierskiego i partii niezawisłości, ale także w całej koalicji“ — a już tegoż samego wieczora o godzinie 9-ej nadeszła wiadomość do Wiednia, że ugoda jest zawartą. Jeszcze popołudniu tejże wiekopomnej soboty „Korytowski wyraził się, że sprawa źle stoi“, a inni ministrowie „wyrażali się pesymistycznie“ (słowa telegramów), jeszcze „w ostatniej chwili skutkiem wmieszania się Justha i Polonyego, przeciwników wspólności Banku austro-węgierskiego, sprawa się zaostriżyła“, jeszcze tylko w interwencji tronu szukano ratunku, jeszcze o godzinie 7-ej oświadczyć miał Beck, że rokowania uważa za zerwane i wybiera się na kolej — tymczasem już o godz. 8-ej węgierski sekretarz stanu wyszedł z sali obrad i obwieścił radosną nowinę, że „ugoda jest gotowa“.

Kochani Czytelnicy! jeżeli od was mi się należy dar honorowy, to od obu rządów wymagam stanowczo realnego dowodu uznania. Boć ja jeden tylko wierzyłem, że oba rządy okażą „dobrą wolę“, a ta wiara, wygłoszona w „Nowościach“, nie tylko wpłynęła uspokajająco na tłumy, ale musiała wlać otuchę w serca ministeryalne. Może nie będę daleki od prawdy, jeżeli przypuszczę, że pomiędzy ową złowrogą godziną 7-mą, a radosną 8-mą, odczytano mój fejteton w sali obrad i skruszyły się sumienia ministeryalne. Tak czy owak, za mój udział w zawarciu ugody należy mi się przynajmniej piękny mundur.

Bo oto nadchodzą czasy, w których człek bez munduru godzinie będzie politowania. Dotychczas dzielono ludzkość (austriacką) na wojskowych i cywilów — ci ostatni należeli naturalnie do podległego gatunku. Teraz przybędzie jeszcze gatunek pośredni: cywile umundurowani. Lubo bowiem cywil sam przez się jest istotą niższą, tolerowaną jedynie wskutek humanitarnych zasad współczesnej nam filozofii, to jednak niektóre jednostki tego rodzaju, łapiąc lub sądząc złodziejów, pilnując poszanowania ustroju, zapewniającego przewagę „lepszemu gatunkowi“, lejąc olej w głowy przyszłych członków tego lepszego gatunku, a zwłaszcza ściągając cła, kary i podatki na jego utrzymanie, pełnią funkcje, zasługujące na wyróżnienie od reszty cywilnej hołoty. Uchwalono więc zaprowadzić dla nich liberyę. Odtąd byle jaki uczonek, byle jaki artysta, lekarz, adwokat, literat, nie będzie mógł się uważać, jak to dotychczas było, za równego panu c. k. praktykantowi sądowemu lub c. k. a-djunktowi podatkowemu, a nawet c. k. oficjałowi

pocztowemu. I słusznie, bo za przykładem całego cywilizowanego świata, zaczęto i u nas urzędników uważać za obywateli, a nie potrzeba dowodzić, jak taki demagogiczny pogląd był niebezpiecznym dla ustroju państwowego. Sami urzędnicy (naturalnie nie wszyscy) już to rozumieli, zakładając swe osobne stowarzyszenia, resursy, tworząc własne komitety wyborcze. Wysoki rząd przychodzi im teraz z pomocą. Ażeby zaś złe nawyki nie psuły organizacji nowej kasty, mundur ma się stać częścią istoty urzędnika — bez niego nie wolno mu będzie wychodzić na ulicę, w nim nawet będzie musiał stanąć przed ołtarzem. Aż rozkosz pomyśleć, jak to będzie ładnie. Wyobrażam sobie np. Ekscelencyę Tarnowskiego lub JE. Bobrzyńskiego jako profesorów uniwersytetu, zapiętych zawsze pod szyję na wszystkie błyszczące guziki i zawsze w czapce z bączkiem lub w pirogu na głowie. Sądzę nawet, że nie na tem skończyć się powinno, że i panie urzędniczki, jako też małe urzędniczeta powinni czemś się odznaczać od szarego tłumu pośredniej rangi. Cieszy mnie i to także, że ten zbawienny pomysł wyrósł w chwili „zupełnego zdemokratyzowania się społeczeństwa“, w chwili zaprowadzenia powszechnego głosowania. Za dawnych „reakcyjnych“ czasów nikomu coś podobnego na myśl by nie przyszło. Wprawdzie pocieszają się demagodzy pisząc, że Rada państwa nie dopuści do wprowadzenia w życie tego rozporządzenia, ale ja o parlamencie, wyszłym z powszechnych wyborów, mam daleko lepsze wyobrażenie. Dawniejsze parlamenty mogły się bawić w opozycję, dzisiejszy nie jest taki naiwny. Dość będzie pp. powszechnym posłom powiedzieć: „jako? bierzecie za durno dyety i chcecie się jeszcze buntować? — chyba pragniecie, abyśmy was rozgonili? — a powszechnym posłom „zmiekną rury“, boć wiedzą, że lepszego dla nich rządu nie znajdzie na świecie.

A tymczasem branie dyet „za durno“ przeciąga się do nieskończoności. Pisano, że zwołanie parlamentu będzie odroczone na razie, jeżeli ugoda austriacko-węgierska nie przyjdzie do skutku, teraz znów piszą, że będzie odroczone, ponieważ ugoda doszła do skutku. Tego już wytłomaczyć nie mogę, a tylko zazdroszczę pp. posłom. Znam jednego z nich, który raz tylko 10 dni, drugi raz dni 22, a trzeci raz dni 5 bawił w Wiedniu i udawał mądrego, bo milczał zawzięcie, a który do połowy października pobierze za te trudy koło 3200 koron, czyli za jeden dzień całkiem cichej, bo milczącej pracy, przypadnie mu 120 koron. Sprawdzają się więc przysłowia, że niejednemu nawet szydła gołą i że milczenie jest złotem.

Na szczęście w braku parlamentu, mamy przynajmniej swój własny, galicyjski, którego posłów o małomówność (pomimo nędznej piąteczyny dziennie) oskarżać nie można. Co prawda, te głowy naszej ojczyzny nie mogą sobie w żaden sposób poradzić z reformą wyborczą — znów ziszcza się moja przepowiednia, że miast reformy otrzymamy jakąś drobną i marną łataninę — ale za to potrafią przez pięć dni z rzędu obradować nad dolą zająców, sarn i innych nieoswojonych czworonogów. Przyznaję się ze wstydem, że nie bardzo pojmuję, dlaczego ustawa łowiecka wzięła tak górę nad innymi sprawami, gdyż u nas już łowy na mandaty i posady odgrywają daleko większą rolę, ale to mi nie przeszkadza podziwiać tego zapału, z jakim ojcowie narodu walczą o prawo strzelania zwierzyny. Wszak nawet przyszło do awantury, wszak o mało p. Stapiński nie postrzelił tak grubej zwierzyny, jak JE. Abrahamowicz, wszak dopiero interwencja marszałka zapobiegła temu, aby nie pogryzli się ludowcy z konserwatystami. Niewinne zajączki nie wiedzą nawet, jakie o ich losy i skórę toczą się boje, jak niejednemu dostały się one... do głowy. Najbardziej zastanowiła mnie jednak poprawka posła Korola, który żądał, aby na własnym gruncie wolno było każdemu zabijać dziki, niedźwiedzie, wilki, rysie i... żubry. Dowiedziałem się z niej po raz pierwszy, że żubry istnieją w Galicji i to widać w wielkiej ilości, kiedy je aż tępić należy. Nie wiem, dlaczego dr. Korol darował życie lwom i tygrysom, których ilość z pewnością nie jest u nas mniejsza, zwłaszcza że w menażeryach lwów i tygrysów nie braknie, a żubrów w nich widzieć się nie zdarza.

Wracając do naszych posłów parlamentarnych, co jak co, ale temperament przyznać im należy. Kronikę z ostatniego tygodnia wzbogaciła wiadomość, że dwaj reprezentanci naszego ludu, posłowie Fijak i Dobija, zmanifestowali swą różnicę poglądów politycznych walką na pięście. Podobno niemałego szwanku doznały zachne oblicza obu parlamentarzystów, co naród zachowa we wdzię-

cznej pamięci, bo kto dla dobra narodu nawet najszlachetniejszej części swej powłoki cielesnej nie szczędzi, ten ma prawo, aby jego policzek wyróżnił... w marmurze. Bywają nawet ludzie, co w pasy politycznej sami sobie policzek dać gotowi. Nie są od tego zwolnione nawet bardzo głośne śpiewaczki. Jak wiadomo pani Kruszelnicka, której Warszawa składała hołdy, wysłała swego czasu telegram z wyrazami sympatii dla hajdamaków ruskich za ich napad na uniwersytet lwowski. Ale polityka polityką, patryotyzm patryotyzmem, a interes interesem, grosz groszem. Więc wybierając się znowu po złoto do Warszawy, szanowna primadonna, jak doniosły gazety warszawskie, oświadczyła, zdaje się w liście do p. Rajchmana, przedsięwzięcia warszawskiej opery, że telegramu swego żałuje, że nie była dobrze poinformowana itd., że przetyłem naturalnie bardzo kocha Warszawę, że chętnie dla niej będzie śpiewać, a nawet na jakiś cel społeczny gotowa bezpłatnie wystąpić. Niestety Rusini czytają pisma warszawskie, a więc musieli „patryotkę“ przycisnąć do muru, bo oto znowu w „Dile“ ogłasza, że nigdy dla ekspiacy swego hajdamackiego porywu nie składała jakichkolwiek oświadczeń i że nie powstało jej w myśli występować bezpłatnie na „polskie cele“. A może pani Kruszelnicka miewa halucynacje i raz jej się zdaje, że jest Polką, drugi raz, że jest Rusinką. Takie rzeczy zdarzają się. Przed kilku dniami skazano na 10 lat ciężkich robót bandytę Rojewskiego, który ogłuszył swą „narzeczoną“ uderzeniem kolby brauninga i wyrwał jej kilka tysięcy rubli. Mówił on przed sądem, że go rząd więzi z Kuropatkinem i Ojama, że Ojama jest jego kolegą z gimnazjum św. Magdaleny w Poznaniu itd. Ale rząd uznał go za symulanta. Zdaje się, że i pani Kruszelnicka jest... symulantką.

Symulantami są zapewne i nasi magnaci polsko-ukraińscy, którzy głoszą, iż urządzają „Country Club...“ w Płoskirowie. Będą tam polowania „par force“, konkursy hipiczne, „tir aux pigeons“ itd. Trudno przypuścić, aby ci panowie byli rzeczywiście tak głupi i w dzisiejszych czasach, w dzisiejszem położeniu kraju, wobec nieurodzaju, jaki dotknął ludność włościańską, chcieli w zapadłej mieścinie urządzać kosztem tysięcy rubli wielkopolskie kluby angielskie. Prawdopodobnie pod tą pokrywką chcą urządzić jakiś spisek, a co najmniej odbyć naradę nad tem, w jaki sposób wypełnić ciężący na nich obowiązek i tak pracą, jak ofiarnością przyczynić się do dobra powszechnego. Wprawdzie warszawski „Świat“ wciąż ich kompromituje, podając ilustrowane opisy ich zabaw i polowań, ale i to prawdopodobnie ze strony „Świata“ prosta... symulacja.

## O tron arcybiskupi w Gnieźnie.

Już dziesięć miesięcy minęło od śmierci arcybiskupa Stablewskiego, mimo to dawny tron prymasa polskiego dotychczas nieobsadzony. Rząd pruski porozumiewa się z Watykanem, starając się przeprowadzić swego kandydata; usuwa nawet obecnego swego pełnomocnika przy stolicy apostolskiej, którego uważają w Berlinie za zbyt łagodnego, na miejsce zaś jego posyła uchodzącego za energicznego i zręcznego dyplomata sekretarza stanu Tschirschkiego. Spodziewać się jednak można, że papież oprze się atakom nawet najenergiczniejszych dyptomatów i nie ustąpi od swego podstawowego żądania, aby arcybiskup dycezyi polskiej nietylko znał język polski, ale zarazem żeby był pasterzem swych owiec. Wprawdzie poprzednik ks. Stablewskiego, jedyny Niemiec na katedrze św. Wojciecha, arcybiskup Dinder, uczył się języka polskiego dopiero po objęciu rządów archidiecezyi, wtedy jednak były inne czasy, bo nastąpiły bezpośrednio po porażce Prus w walce kulturnej.

Wobec buty pruskiej nie można się spodziewać rychłego zakończenia tej sprawy. Berlin, jak zwykle przy podobnych nominacjach, chce doczekać się chwili, w której za małe jakieś ustępstwo oddane Watykanowi, wymógłby na nim *placet* dla swego kardynała.

Obecnie najprawdopodobniejszym, choć tylko kompromisowym kandydatem zdaje się być ksiądz książę Maksymilian, brat obecnego króla saskiego. Cesarz Wilhelm przed kilku miesiącami był podobno incognito w Pilnicach pod Dreznem i tam naradzał się z królem saskim i biskupem drezdeńskim, Schöffierem, w sprawie tej kandydatury. Za prawdopodobieństwem tych przypuszczeń przemawia przyjaźń Wilhelma II okazywana królowi saskiemu.